ROK XII WARSZAWA, 15 GRUDZIEŃ 1927 № 24

Pol. Naucz. Ogólnokształc. w Sandomierzu

ZIEMIA

DWUTYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

№ 74/XXIV

Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.

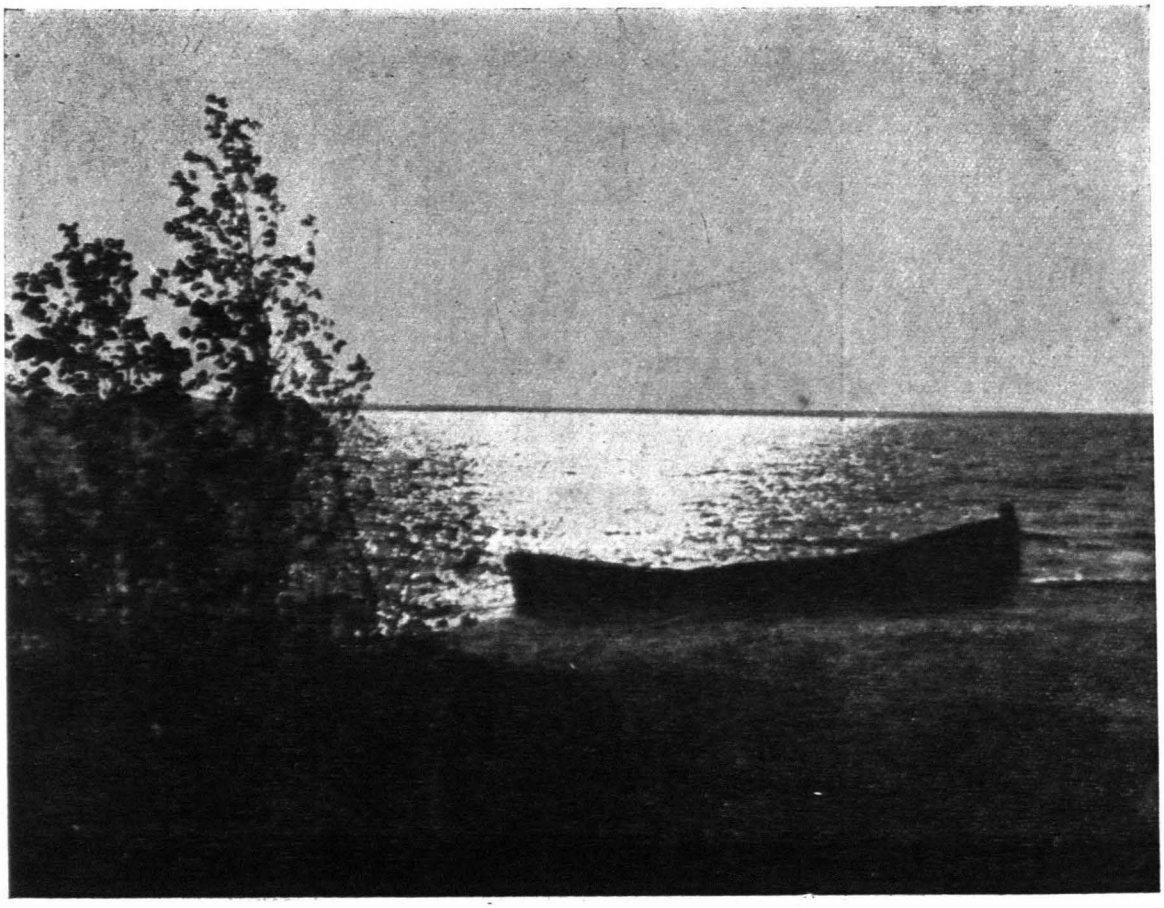

Ryc. 261. JEZIORO NAROCZ. Fot. W. Antoniewicz.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

MARJAN RACIBORSKI (1863—1917).

W marcu bieżącego roku upłynęło dziesięć lat od smutnej chwili, gdy w Zakopanem zmarł jeden z najwybitniejszych biologów i fizjografów polskich, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Marjan Raciborski.

Patrząc już z perspektywy dziesięciu lat na działalność i prace Raciborskiego wyczuwamy przedewszystkiem ogrom i niezwykle szeroką skalę pracy twórczej; praca naukowa była Mu wprost żywiołową wewnętrzną potrzebą, to też twórczość Jego stale była napięta, zagadnienia nieustannie powstawały z najróżnorodniejszych dziedzin i obejmowały wszystkie gałęzie botaniki; wśród licznych prac, rozrzuconych po najrozmaitszych czasopismach naukowych polskich i zagranicznych, widzimy prace z zakresu fizjologji, morfologji, anatomji, systematyki, paleontologji, geografji roślinnej, phytopatologji i t. d.

Drugim czynnikiem obok pracy twórczej naukowej, było umiłowanie ziemi i przyrody ojczystej; „uczucie miłości ojczyzny, wspólności ze społeczeństwem i z ziemią, wytworzone jedynie na podstawie tradycji i lektury, historji czy poezji, może być bardzo silne, ale jeżeli mu braknie bliższej znajomości rzeczy, mglistym się czyni i bezpłodnym". „Kochamy naszą ziemię ojczystą nie tylko czcią jej przeszłości historycznej i kultury, lecz także kultem jej natury".

To też może najmilsze i najbliższe Raciborskiemu prace tyczyły się szaty roślinnej Polski, jej biologji i historji rozwoju. W przyrodzie polskiej był tak rozmiłowany, że podczas pobytu wśród najrozkoszniejszej przyrody na „wyspie słońca" Jawie tęskni do naszych pól i lasów. „Obszarów tak bogatych w barwy, jak przedstawiają nasze gaje wczesną wiosną, sady w maju, łąki w lecie lub ugory w jesieni szukałbyś pod równikiem daremnie... I przyznam, że gdy po powrocie do kraju zobaczyłem aleję brzozową o żółtych w jesieni liściach, był to widok kolorystycznie piękniejszy od wszystkich, jakie pod równikiem widziałem". („Życie pod równikiem". Lwów 1924).

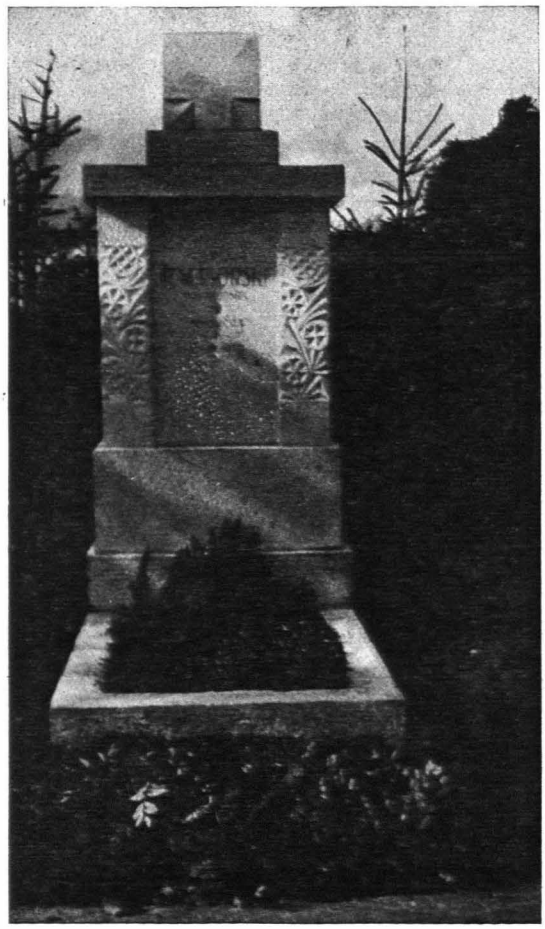

Ryc. 262. POMNIK Ś. P. RACIBORSKIEGO.

Już jako uczeń gimnazjalny w Krakowie zajmuje się badaniami florystycznemi, a również później jako asystent Uniwersytetu Jagiellońskiego poświęca „cały czas wolny od zajęć asystenckich na badania botaniczne, w którym to kierunku u nas jeszcze bardzo wiele trzeba pracować, aby dorównać zagranicy". W miesiącach wakacyjnych (w latach 1883 — 1892) odbywał liczne wycieczki botaniczne, przedewszystkiem w okolice Krakowa, w Beskidy, Pieniny, Tatry, do Puszczy Niepołomskiej. Rezultatem tych wycieczek było kilkanaście prac oraz monografij florystycznych, tyczących się śluzowców, grzybów, glonów, wątrobowców i roślin kwiatowych. Również w tych latach opracowuje flory kopalne z Gór Świętokrzyskich, okolic Krakowa i Tatr; w pracach tych, nawskroś oryginalnych, „fantazja twórcza genjalnego młodzieńca wskrzesiła obrazy dawno, przed pra-wiekami żyjącej w Polsce flory sagowców, araukarji, paproci drzewiastych i innych roślin dawno wymarłych". (Szafer).

Po powrocie z Jawy (1896 — 1900) już jako profesor w Dublanach, później we Lwowie, wre-

http://sbc.wbp.kielce.pl/

szcie (od 1912 roku) w Krakowie obok zagadnień ze wszystkich prawie działów botaniki, pracuje dalej nad poznawaniem szaty roślinnej Polski, odbywa szereg wycieczek ze swoimi uczniami, gromadzi materjały do późniejszego wydawnictwa „Flory Polskiej", wreszcie tworzy syntezę dziejów roślinności i daje pierwszą mapę syntetyczną flory polskiej „charakteryzującą krainy geobotaniczne całej Polski i uwzględniającą ogół czynników, wyciskających swe piętno na roślinności w Polsce". W ten sposób Raciborski uogólnił przeszło stuletnie prace nad poznaniem flory polskiej, wysunął nowe zagadnienia i dał podstawy do nowych badań. W dziejach florystyki polskiej był to moment przełomowy. Jednocześnie Raciborski rozwija bardzo różnorodną działalność: wygłasza szereg porywających prelekcji, interesuje się muzeami przyrodniczo-krajoznawczemi, dla których zestawia wskazówki (Kosmos, 1911 rok), zbiera materjały do Ochrony Przyrody, popularyzuje tę ideę w prelekcjach, wykładach uniwersyteckich i pismach i tym sposobem kładzie fundamenty pod dzisiejszą Państwową Komisję Ochrony Przyrody.

Prace więc i zamiłowania Raciborskiego zespalały się z dążeniami i ideologją Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. To też dla Krajoznawstwa Polskiego nazwisko Raciborskiego powinno stanąć w rzędzie najpierwszych.

* * *

Marjan Raciborski urodził się w Brzozowej pod Opatowem, w ziemi Radomskiej 16 września 1863 roku; ojciec jego był organizatorem powstania w powiecie opatowskim i sandomierskim. Marjan Raciborski ukończył szkołę realną w Krakowie, zapisał się na Uniwersytet Jagielloński, a w 1885 roku został asystentem przy katedrze botaniki w Krakowie. W roku 1892 wyjechał na dalsze studja botaniczne i paleobotaniczne do Niemiec, a w 1896 r. wyjechał na Jawę, gdzie przebywał do 1900 roku. Po powrocie do kraju był profesorem w Dublanach, we Lwowie, a od 1912 roku profesorem w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, gdzie zorganizował Instytut botaniczny. Umarł w Zakopanem 24 marca 1917 roku i pochowany został na cmentarzu zakopiańskim. 25 września bieżącego roku został urządzony przez Oddział Krakowski Towarzystwa Przyrodników im. Kopernika w Zakopanem uroczysty obchód 10-cio letniej rocznicy śmierci, na którym poświęcono nagrobek na mogile, poczem odbyła się uroczysta Akademja.

O Raciborskim, między innymi, pisali: J. Morozewicz, J. Rostafiński, K. Rouppert, E. Godlewski i W. Szafer w XLII tomie Kosmosu (1917); ostatnie śliczne wspomnienie „W dziesięciolecie śmierci Marjana Raciborskiego" napisał W. Szafer (Kosmos. Przegląd zagadnień naukowych. Rocznik LII, r. 1927, str. 203).

January Kołodziejczyk.

REGINA DANYSZ-FLESZAROWA.

JEZIORO NAROCZ.

Największe jezioro w Polsce i najmniej znane. Podziela ono pod tym względem los całego pojezierza wileńskiego, które chociaż nadzwyczaj bogate w jeziora, liczy ich powyżej 1000, jest jeszcze prawie zupełnie nieznane. Nic też więc dziwnego, że i Narocz pozostała niezbadana, chociaż powierzchnia jej, licząca 80,5 km^2 stanowi prawie $^1/_9$ przestrzeni wszystkich jezior Wileńszczyzny.

Nietrudno jest znaleźć przyczyny tego naukowego zaniedbania. Długi przecież szereg lat nie było w pobliżu żadnego poważnego ośrodka naukowego. Zamknięcie uniwersytetu wileńskiego zahamowało pracę badawczą, ale jej nie przerwało całkowicie—brak jest badań systematycznych, prowadzone są jednak obserwacje sporadyczne.

Jednej właśnie z takich dorywczych obserwacyj zawdzięczamy garść wiadomości o Naroczy.

Jest to jezioro o ogromnej powierzchni (80,5 km^2), w kształcie nieregularnego owalu, rozszerzonego w południowo-wschodniej części. Na parę kilometrów długi cypel oddziela północno-zachodnią część. W południowo-wschodniej części, blisko brzegu znajduje się wyspa, licząca około 2 ha; występowanie wysp na jeziorach jest wypadkiem dość częstym na naszym niżu. Głębokość jeziora jest bardzo małoznana. Dokonano swego czasu kilku zaledwie pomiarów, z których najgłębszy wykazał 18,5 m. Miejscowi rybacy podają jako największą głębokość 30 — 40 m., jest to jednak świadectwo bardzo niepewne. Dno je-

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Ryc. 263. JEZIORO NAROCZ. *Fot. Arch. Wojciechowski.*

ziora jest naogół twarde, piasczyste, miejscami występują nagromadzenia głazów.

Jezioro posiada odpływ — jest to rzeczka tej samej nazwy, Narocz, wypływająca z południowej części jeziora, która po przebieżeniu 67 km., wpada do Wilji, włączając w ten sposób jezioro Narocz do systematu Niemna.

Ostatnie zupełnie lata przyniosły znowu garść wiadomości, jednakże nietyle o samym jeziorze, ile o jego okolicy, która również zasługuje na uwagę, gdyż jest bardzo piękna.

Teren nierówny, pagórkowaty i to dość znacznie, gdyż wahania wysokości względnej wynoszą od 20 do 40 metrów. Są to wyniosłości dość łagodne, pochodzące, jak zwykle wszystkie na pojezierzu, z nasypania luźnego materjału przez wielki lądolód. Okolice Naroczy odznaczają się tylko większem urozmaiceniem, gdyż tu kraniec lodu ulegał przez czas dłuższy wahaniom.

To też od południa i od północy ciągną się z zachodu na wschód potężne grzędy moren czołowych, wpływających nad wyraz dodatnio na wygląd krajobrazu. I brzegi jeziora, a nawet i dno jego wskazują na lodowcowe pochodzenie, gdyż spotykamy się tu z całemi częściami brzegu zasianemi wielkimi głazami narzutowemi, które w niektórych wypadkach. jak np. w przedłużeniu cypla nanosy tworzą i pod wodą wyraźnie widoczny wał.

Charakterystycznem też dla krain polodowcowych jest grupowe występowanie jezior. Narocz nie stanowi pod tym względem wyjątku. Ku wschodowi łączy się, rzec można, bezpośrednio, bo kilkunastometrową strugą z jeziorem Miastro i Batoryn. Tuż obok leży też bezodpływowe jezioro Blado.

Ku północy zaś, nieco dalej, bo o parę kilometrów, leży duże jezioro Miadzioł, oddzielone od Naroczy grzędą moreny Święciany-Dokszyce.

Jezioro Miadzioł ma odpływ ku Dziśnie, a z nią razem przynależy do systemu Dźwiny. Na tej więc małej przestrzeni przechodzi dział wodny między dwoma dużemi rzekami—Niemnem i Dźwiną.

W nieco większem oddaleniu ku wschodowi leżą piękne jeziora Świr i Wiszniewskie.

Narocz więc z okolicami jest bardzo pięknym odcinkiem wielkiego pojezierza wileńskiego.

Literatura:

Wróblewski W. Jeziora Święciańskie: Wiszniewskie, Świrskie i Narocz. Pam. Fizjogr., III, 1883 r. Warszawa.

Wołłosowicz St. O grzędach morenowych ziemi Narockiej. Sprawozdanie P. I. G., II, 1923. Warszawa.

Garlikowska H. Rozmieszczenie i statystyka jezior wileńskich Archiw. Rybactwa Polskiego, I, 1925.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

TADEUSZ ŁOPALEWSKI.

NAD NAJWIĘKSZEM W POLSCE JEZIOREM.

Oddawna już chodziły po kraju głuche wieści o tajemniczym cudzie przyrody, ukrytym gdzieś wśród dziewiczych obszarów ziemi Wileńskiej. Mówiono, że hen, daleko, w samem sercu tej ziemi rozlewają się olbrzymie, wspaniałe wody: jezioro, nie jezioro, morze, nie morze. Ten i ów szczęśliwiec, który bohatersko pokonał był przeszkody przestrzeni, docierając do owego legendarnego miejsca, wracał później z miną wniebowziętą, a na natarczywe pytania zaintrygowanych mieszczuchów, przymykał zachwycone oczy i piał ekstatycznie:

— Ach... och... N a r o c z! ach... ach...

Tyle tylko z niego można było wydobyć. Wrażenia doznane odbierały mu snać mowę i przejściowo ujemnie wpływały na umysł. Ciekawość więc rosła, apetyty zaostrzały się. Dość jednak było śmiałkowi rzucić okiem na mapę w poszukiwaniu drogi, by zapały krajoznawcze ostudzić. Można jechać, dlaczego nie? Sto dwadzieścia kilometrów traktem, a można też i koleją. Najpierw godzinę dwutorówką, później trochę „poczekawszy" — trzy godziny jednotorówką, później — trochę wązkotorówką, a resztę, głupie kilkanaście kilometrów, sposobem apostolskim, na piechty. Wydłużała więc się broda turyście i... mijał czas, a nic nie zakłócało spokoju bezludnych brzegów naroczańskich. Wprawdzie przed kilkudziesięciu laty przedarło się tam paru męczenników nauki, którzy wymierzyli „morze litewskie" wszerz, wzdłuż i wgłąb i opisali je w III tomie „Pamiętnika Fizjograficznego", nie znaleźli jednak naśladowców, choć tematu bynajmniej nie wyczerpali. Od tego czasu stało się wiadomem, że obszar wód Naroczy równa się 80 klm^2, a więc w obecnych granicach Państwa Polskiego jest największe jezioro.

Pomimo to dla świata cywilizowanego pozostała Narocz w ukryciu. Bo i przed Kolumbem przecież zdarzało się żeglarzom postawić stopę na ziemi amerykańskiej, dopiero jednak Kolumb dokonał oficjalnego odkrycia, co—jak głoszą dzieje anegdotyczne—taką radością napełniło tuziemców, iż pląsali na brzegu wobec kolumbowych fregat, śpiewając:—Radujmy się, radujmy! Wiwat! Jesteśmy odkryci!

Czekała więc i Narocz na swego Kolumba i doczekała się wreszcie. Pewnego dnia zjawił się u władcy tych obszarów szpakowaty brunet w amerykańskich okularach, z pliką papierów w teczce, na której widniał rysunek imponującej budowli. Stanął w postawie służbowej i rzekł:

— Budujemy nad Naroczą schronisko, panie Wojewodo?

— Budujemy. A pieniądze są?

— Prawie, że są. Zrobiona rzeczy połowa—to rzecz już cała gotowa. Trzeba jednak przedtem odkryć ludziom tamten świat: niech wiedzą, co, gdzie i jak...

— Słusznie.

Na apel zgłaszają się pionierzy cywilizacji. Przybywają wodzowie plemienia morskich i rzecznych Ligów, awanturniczego a bardzo rozmnożonego szczepu „Krajoznawców", młodego i dzielnego ludu „Azetesów" i „Bratnia-

Ryc. 264. MICHALISZKI. KOŚCIÓŁ NAD WILJĄ. *Fot. Wł. Antoniewicz.*

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Ryc. 265. *Fot. K. Sławiński.*
KOŚCIÓŁ W MICHALISZKACH.

ków" i szeregu innych niemniej znakomitych plemion.

W niedzielny słoneczny poranek z portu przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego w Wilnie wyrusza na podbój Naroczy flotylla odkrywców, złożona z siedmiu samochodów, szczelnie wypełnionych załogą, uzbrojoną w ciężkie i lekkie aparaty fotograficzne oraz inne przybory podróżnicze. Bojowo sterczą ku górze nastroszone kołnierze kożuchów. Ze stosu futer i szalów wyglądają ciekawie na świat trzy urocze białogłowy, wierne przysiędze, składanej małżonkom:

— Iż cię nie opuszczę aż do śmierci.

O śmierci narazie niema mowy. Przeciwnie: humory różowe jak nosy pod działaniem przymrozka październikowego, wlewają otuchę w serca najbardziej „pragmatycznych" pesymistów. Na starej wieży katedralnej bije siódma. Potrójny sygnał trąbki i ruszamy. Na czoło wyprawy wysuwa się auto Komandora, któremu zgodnie powierzamy przewodnictwo i troskę o bezpieczeństwo naszej podróży. Jeżeli „nie z wieku" (bo są tu i starsi) to napewno „z urzędu" ten zaszczyt mu się należy. Komandor na śmigłym fordziku odrazu rusza z kopyta, a za miastem na wspaniałej choć krótkiej szosie do Nowej Wilejki rwie z szybkością 60 klm. na godzinę. Za nim utrzymując przepisowy dystans 50 metrów pędzi na DOdge'u sam Kolumb i odkrywca Naroczy. W skórzanej czapie i okularach wygląda przy kierownicy i bohatersko i demonicznie. Za nim rasowy Buick, w którym zagnieździli się przedstawiciele wiedzy i — cóż począć? — literatury.

Bo wyprawa posiada w swem gronie aż czterech profesorów: chemji, geografji, prehistorji oraz historji i sztuki. Potężna postać profesora chemji w jakiemś (mea culpa: nie wiem jakiem) reniferowem futrze unaocznia majestat nauki. Patrjarchalna broda i namaszczony głos obejmują moralny protektorat nad najbliższem otoczeniem Buicka i jego zawartością. Oczy laików przykuwa pękata walizka, którą profesor troskliwie umieszcza przy sobie wśród różnokalibrowych aparatów fotograficznych. Nieśmiałe pytania ciekawskich odnośnie jej treści właściciel zbywa dobrodusznem mruczeniem, z którego można raczej domyśleć się, niż usłyszeć: — Przyjdzie czas — to zobaczycie.

Szczęśliwy, kto zobaczy!

Tymczasem szybko przecinamy tor kolejowy za Wilnem raz, później drugi raz... Komandor daje w biegu tajemniczy znak ręką posterunkowemu, który pędzi co tchu w kierunku stacji. I podczas gdy maszyny skaczą po zmarzniętej grudzie, po drutach telefonicznych wyprzedza je szybsza jeszcze wieść: Już jadą...

Pole, las, pole, las, wioska... Jak burza przelatujemy mimo „gapiących się gapieniem wielkiem" kmiotków i znów to samo: pole, las, pole, las, pole, mostek, góra, dół, góra, dół („Moreny" — szepce nabożnie prehistoryk) i oto na horyzoncie ukazuje się zbiorowisko domów z mieniącym się srebrzyście w słońcu białym kościołem. Michaliszki. Stop!

Sprawdzanie szeregów. Okazuje się, że jedna z maszyn zginęła gdzieś po drodze. Tradycyjna „kicha", oczywiście. Wypada więc zaczekać, a ponadto — sześćdziesiąt zgórą kilometrów mamy już za sobą. Z okazji tej korzysta odrazu historyk sztuki i konserwator w jednej osobie:

— Pierwszorzędny zabytek — śpiewa świeżym tenorem, wymachując olbrzymiemi rękawami kożucha w kierunku wzmiankowanego

http://sbc.wbp.kielce.pl/

kościoła: radzę państwu choć pobieżnie... Pierwszorzędny...

— To niesłychane — wydziwia entuzjasta, profesor geografji i geolog też w jednej osobie: — nadzwyczajne. Tędy Batory...

Urywa i pośpiesznie notuje coś w miniaturowym bloknotesie, żując apetycznie butersznyt. A już grono pań i panów pod wodzą konserwatora sunie przez koślawy rynek w kierunku ślicznej świątyńki. Piękne wnętrze z bogatemi stiukami, na których znać wpływ ornamentury wileńskiego kościoła św. Piotra i Pawła, więcej jednak ciepłe przez swą prostotę. Przepysznie w drzewie rzeźbiona ambona z baldachimem w kształcie korony, w bocznej kapliczce misterny krucyfiks z kości słoniowej.

— Kapitalne — wzdycha entuzjasta, kropkując w notesiku. Wcielenie majestatu nauki mruczy afirmatywnie. Wszyscy są zadowoleni. Z cmentarzyka przykościelnego rozległy widok na Wilję, przepływającą w dole, na falistą równinę. Tu, na moście pierwsze zdjęcie. Zaczyna się mozolne upozowywanie maszyn, ustawianie statywów. Trwa to dość długo. Tymczasem tubylcy mają bezpłatnie widowisko. Do wałęsającego się bezczynne literata zbliżają się nieśmiało dwie michaliskie damy:

— Przepraszamy pana, czy tu same profesorowie jadą?

— Tak — łże z pychą literat, połechtany tem uogólnieniem.

— Proszę pana, a czy tu może jest pan profesor Michejda, bo mój brat jest trochę chory?

Niestety, chirurgja nie wzięła udziału w wyprawie. Operacja nie doszła do skutku.

Niewidziana dotychczas w tych stronach ilość samochodów, dumne miny pasażerów wszędzie wzbudzają sensację. Leci przed nami stugębna fama i toruje nam drogę: „To jedzie marszałek Trąmpczyński, wicewojewoda Malinowski i jacyś posłowie" — brzmi pantoflowa relacja.

O wieści gminna, ty arko przymierza...

Geograf z prehistorykiem nie tracą jednak czasu. Podczas gdy większość zainteresowana jest fotografowaniem na moście, ci dwaj weszli na wzgórek i debatują nad czemś uczenie. Widać jak pierwszy schyla się i bada paznokciem pokłady geologiczne odsłoniętej w tem miejscu warstwicy ziemi. Czynność tę przerywa mu sygnał trąbki Komandora: Wsiadać, wsiadać...

Ryc. 266. *Fot. Wł. Antoniewicz.*
KOBYLNIK. POW. POSTAWSKI. KAPLICZKA.

Motory zaczynają warczeć — i po chwili cała flotylla pędzi już znowu ku odległemu celowi wyprawy. Już w tym i owym żołądku odzywa się smętne burczenie. Natura upomina się o swoje prawa. Posiłek jednak dostanie załoga dopiero w Kobylniku, to znaczy, prawie u kresu podróży. A pozostało jeszcze półtorej godziny jazdy, jeśli co nie stanie na przeszkodzie. Mkniemy. Ach, te moreny. Można dostać choroby morskiej od tych pochyłych zjazdów. Słońce zaczyna nieśmiało przygrzewać, przypominając nam niedawne letnie czasy i wywczasy. Ale pęd wiatru ostudza to spóźnione ciepło. Pęd wiatru niesie przed nami po drodze kłębowisko złotobronzowych liści, posiew jesieni... Dobrze jest, wesoło i pogodnie podczas tej jazdy. Wszystkie twarze zadowolone i uśmiechnięte.

W pewnym lasku Kolumb zatrzymuje nagle pędzące za nim auta. Komandor nie dosłyszał sygnału, poleciał naprzód, zniknął na zakręcie.

— Co się stało?

— O dwieście metrów stąd na lewo jest jezioro Szwaksta. Radzę wysiąść i zobaczyć.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Ten człowiek naprawdę urodził się odkrywcą. Mobilizacja fotografów i ruszamy przez bujne wrzosowiska we wskazanym kierunku. Po kilku minutach ukazuje się między sosnami wielka błękitna przestrzeń. Stajemy na wyniosłym brzegu. Czarowny widok. Cisza, głusza i pustka dokoła, lazurowe obszary nieba i błękitna tarcza jeziora, inkrustowana po brzegach złotofioletowemi kępami szuwarów. Słońce wylewa na nią strumień roztopionego metalu. Nad nią kołują wolno dwie białe mewy...

Cichą kontemplację obecnych przerywa raptem poirytowany głos naszego entuzjasty:

— Gdzież są, u djabła, nasi malarze? Czemu nie siedzą i nie malują? Nigdy ich niema tam gdzie potrzeba. Będą wam po sto razy malowali każdą ruderę w Kazimierzu, a tu się żaden nie zabłąka.

Więc z braku artystów pędzla ten i ów wycina aparatem fotograficznym z krajobrazu co piękniejsze kawałki. Bo ponoć i fotografja jest sztuką. Może nie?.. Już w lesie szczekają zniecierpliwione trąbki. Gramolimy się do maszyn i jazda. Jeszcze jeden krótki postój po drodze dla utrwalenia na kliszy prześlicznej kapliczki przydrożnej, gdzie pod okapem widnieją trzy polichromowane świątki: Chrystus na krzyżu, a pod krzyżem święty Józef z Dzieciątkiem na ręku i Matka Boska. Całość pięknie rzeźbiona, ozdobiona ptaszkami, zgrabnym gzymsikiem, słowem—arcydzieło bezimiennego snycerza.

I oto cel naszej podróży, miasteczko Kobylnik. Tuż za niem, w odległości paru kilometrów rozpościerają się wody wspaniałego jeziora. Lecz zanim zaczniemy poić ducha cudami przyrody, trzeba przecież napoić i pokrzepić mdłe ciało, wytrzęsione nieco na wybojach przebytej szczęśliwie drogi. Zajeżdżamy przed urząd gminny, wchodzimy tłumnie do środka. Miła niespodzianka. Nature morte. Stoły ustawione w podkowę, nakryte białym obrusem, a na nich uczciwy rząd flaszek, chleb, masło, ogórki. Z kuchni zaciąga aż tu smakowity zapach smażonego „ścierwa". Honory gospodarza domu z szerokim gestem czyni starosta postawski, w towarzystwie sympatycznego pana wójta gminy kobylnickiej. Siadamy do stołu jak jeden mąż. „Pełno radości i krzyku". Teraz dopiero chemik zdradza najbliższemu otoczeniu tajemnicę swej walizki. Z pogardą odsunąwszy czystą monopolową, dyżurującą, na miejscu, stawia na stół preparat własnej pracowni: nalewkę wiśniową. Nieliczni tylko mieli szczęście delektować się paroma większemi miarkami tej subtelnej substancji, jeszcze mniej liczni w kilka godzin później, gdy śniadanie ułożyło się im ściśle w żołądkach, czyniąc miejsce nowym dawkom pożywienia, uraczeni zostali pysznym chlebem z tejże pracowni i walizki pochodzącym oraz pieczonym „bydlakiem" vel kurczęciem, które nieuszkodzone przybyło we wzmiankowanym neseserze z Wilna nad Narocz.

Niespełna godzinę trwał popas w Kobylniku i znowu wyruszamy na ostatni tym razem i najkrótszy etap naszej podróży. Znowu te moreny, wjazdy i łaskotliwe zjazdy, aż raptem ze szczytu pewnego wzgórza uderza w oczy wielki, szeroki pas błękitu, pomiędzy szczytami drzew a jaśniejszem niebem. Wspaniała ta niespodzianka na sekundę zapiera oddech w piersiach.

— Narocz. Aa...

Auto zjeżdża w dół i miraż znika. Wkrótce zagajnik się kończy i po prawej stronie ukazuje się w całym swym ogromie Mare Lithuanicum. Na pierwszy rzut oka woda zdaje się nie posiadać po tamtej stronie brzegów. Później spostrzega się mglisto majaczący na horyzoncie skrawek lądu, długą kresę, jakgdyby zawieszoną w powietrzu. Droga prowadzi tuż nad jeziorem. Maszyny zwalniają biegu i raz po raz wysiadają pasażerowie dla dokonania operacyj fotograficznych. Słychać wtedy majestatyczny szum fal, jak nad prawdziwem morzem. Pomimo bezwietrznej pogody Narocz silnie faluje i gra w przestrzeni swą potężną pieśń. Szumi rytmicznym szerokim oddechem, ożywia zakurzone płuca mieszczuchów rzeźkiem chłodnem powietrzem. Mieni się w słońcu przepychem szklistych barw i świateł. Wokół na wybrzeżu ani śladu ludzkiego osiedla. Pustkowie.

Dwanaście kilometrów ciągnie się droga wzdłuż tego północno-wschodniego brzegu w kierunku Starego Miadzioła. Przebywamy tę przestrzeń powoli, pasąc oczy i objektywy urokami krajobrazu. Później auta skręcają z traktu w przesmyk między Naroczą, a sąsiedniem jeziorem Miastro. Droga tu znacznie trudniejsza.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Grunt nierówny i bagnisty. W pewnem miejscu maszyny grzęzną i trzeba wysiłkiem ramion wyciągać je na lepsze pozycje. Tam porzucamy nieprzydatne już wozy i idziemy dalej pieszo. Przesmyk wciąż się zwęża i w jednym punkcie wynosi zaledwie kilka metrów. Struga łączy obydwa jeziora, a nad nią buduje się wygodny mostek na palach. Balansując na belkach pokonywamy i tę przeszkodę, poczem już droga wolna i wygodna. Widok na wodne obszary, rozściełające się po obu stronach naprawdę niezwykły. Z lewej strony, na przeciwległym brzegu Miastra widać w kępie wielobarwnych jesiennych drzew miasteczko Miadzioł, z górującym nad niem zabytkowym kościołem.

Teraz można posuwać się tuż nad wodami Naroczy twardym, piaszczystym brzegiem, gdzie pełno żwiru, muszelek i... drutów kolczastych. Pozostałość to Wielkiej Wojny. Całe masy takich zasieków zostały podobno zatopione przez Niemców w jeziorze. Miejscowi rybacy wyławiają jak mogą te zdradzieckie pułapki i magazynują na brzegu, bo zyżytkować ich dla własnych potrzeb — nie wolno. Takie jest rozporządzenie. Pewna przestrzeń została już oczyszczona dla rybołóstwa, bo spotykamy dalej kilkanaście łodzi rybackich i wiele porozwieszanych nad niemi sieci. Druga pamiątka wojny — to niewielki cmentarz na wzgórzu wśród sosen...

Załoga, podzielona na gromadki, spacerowym krokiem maszeruje wzdłuż wybrzeża, dzieląc się wrażeniami. Tu i owdzie toczy się ożywiona dyskusja na temat przyszłego ruchu turystycznego w tych stronach, o widokach rozwoju życia letniskowego. Co za znakomity teren dla sportu wodnego i wędkarstwa. Już w wyobraźni puste obszary nad Naroczą zaludniają się dziesiątkami żaglówek i łodzi. Już wyrastają na wybrzeżu schroniska, wille, domki. Ziemia tu bowiem śmiesznie tania: 50 — 200 zł. za hektar. Budulec w pobliskich lasach. Komunikacja? I komunikacja wygodna powstanie, gdy będzie kogo przewozić. Klimat zdrowy, położenie malownicze, czegóż więcej potrzeba?

Takiemi refleksjami brzemienni wracamy do samochodów, bo słońce zniża się już ku zachodowi, a oddaliliśmy się od lokomocji o dobre trzy kilometry. Okrężną drogą wracamy do Kobylnika, utyskując na krótkość dnia paź-

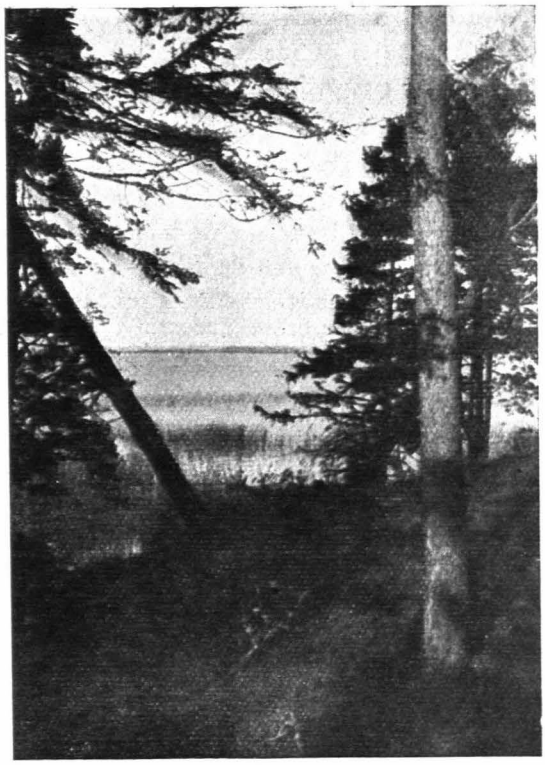

Ryc. 267. JEZIORO SZWAKSTA. *Fot. Wł. Antoniewicz.*

dziernikowego, nie pozwalającą objechać jeziora ze strony przeciwnej, niemniej — jak twierdzą świadomi rzeczy — godnej uwagi. W Kobylniku jesteśmy o zmierzchu. Spożywamy obiad przy tych samych stołach, co śniadanie. I jest już ciemno. Zakwita gwiazdami aksamitne niebo. Przed siódmą, szczelnie otuleni w kożuchy i futra puszczamy się w drogę powrotną do Wilna. Samochody wymiatają reflektorami ciemności przed sobą. Nowe wrażenia niesie ta szybka nocna jazda drogą tą samą, a jakże inną niż w dzień. Wracamy w tym samym porządku, w jakim tu przybyliśmy. Komandor cudów szybkości dokazuje na swym fordzie. Nie pozwala sobie deptać po piętach i często czerwone oko numeru ginie nam z oczu. Aż oto spostrzegamy, że jedno auto uskoczyło w bok i pędzi gdzieś w ciemne pola. To Kolumb odkrywca, przypomniawszy sobie hasło Asnyka: „szukajcie nowych dróg" poleciał inną drogą na Hoduciszki. Wkrótce jednak zrezygnował z tego szlaku i skonfundowany dogonił nas na starym trakcie. W arjergardzie trzęsie się na rozklekotanej maszynie samotny geograf, sromotnie opuszczony przez dotychczasowego towarzysza, który, powołując się

http://sbc.wbp.kielce.pl/

na swe delikatne wnętrze, ulokował się w wygodniejszym samochodzie. Samotność mędrców mistrzyni: syt wrażeń i zachwytów chrapnął sobie profesor w ciepłych głębinach kożucha i ani się spostrzegł jak fordzik spłatał mu figla. Gdy przyjętym zwyczajem Komandor zatrzymuje wyprawę nad Wilenką, wykrywa brak arjergardy. Po krótkiej naradzie Buick wraca i pędzi w noc na poszukiwania zaginionego. Znajduje go w dobrem zdrowiu i zabiera na swój pokład.

To była ostatnia przygoda, po której już bez wstrząśnień po czterech niespełna godzinach znaleźliśmy się w domowych pieleszach, rozprostowując z rozkoszą nieco wytrzęsione członki. Odkrycie Naroczy dla cywilizacji stało się więc faktem dokonanym. Teraz od dobrej woli i energji uczestników wyprawy będzie zależało udostępnienie tego pięknego zakątka kraju najszerszym warstwom społeczeństwa. A pierwszym krokiem w tym kierunku stanie się budowa projektowanego schroniska krajoznawczego, co ma nastąpić w czasie najbliższym. Czekają tylko na to właściciele okolicznych gruntów, by własnemi siłami pobudować tam letniska i wille. Bo wszak w każdem przedsięwzięciu najważniejszą rzeczą jest — inicjatywa...

ALEKSANDER JANOWSKI.

PLACÓWKA NAD NAROCZĄ.

Zdawać się może, iż epoka odkryć geograficznych dawno już minęła: zwiedzono wszystkie oceany, zbadano wszystkie lądy, dotarto do obu biegunów, cóż jeszcze pozostało do odkrycia?

Na świecie zapewne już nic, ale w Polsce dla Polaków — bardzo dużo. Wszak nazwano nas „cudzoziemcami we własnym kraju", a już do znudzenia powtarzane słowa „cudze chwalicie i t. d." są ciągle jeszcze u nas głosem wołającego na puszczy.

Przed paru tygodniami odkryto wspaniałe jezioro Narocz. Wprawdzie przed wielu laty pisano już o niem w Pamiętniku Fizjograficznym, wprawdzie czytano podczas wojny o froncie na jeziorze Narocz, ale gdy stopniały lody, zasieki frontu utonęły w jeziorze, a w umysłach polskich utonęła pamięć o tem jakiemś mitycznem jeziorze.

I oto grono uczonych wileńskich wyruszyło ku Naroczy. Poszli, zobaczyli, zdumieli się. Przed ich oczyma roztoczyło swe czary cud-jezioro.

Dalejże radzić nad udostępnieniem tego cudu dla szerokich mas: pensjonat, hotel, letnisko, czy schronisko?

Ryc. 268. JEZIORO NAROCZ. *Fot. J. Remer.*

Prezes naszego Oddziału Wileńskiego prof. Kazimierz Sławiński krótko orzekł, że nic podobnego, gdyż tutaj potrzeba tylko „duszy", któraby ukochała ten szmat ziemi, tę taflę jeziora, któraby wchłonęła czar tej przyrody, a w swem bezmiernem bogactwie i poświęceniu tchnęła nowe życie w ten zapomniany, niedoceniany, bo nieznany zakątek.

Taką duszą dla Zakopanego był Chałubiński.

Lecz dzisiaj „zmalały pieśni pośród nas, zmalała pierś człowiecza".

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Gdy niema dziś takiej duszy, jaką była dusza genjalnej jednostki, to trzeba powołać do czynu duszę zbiorową, łączącą intencje całej grupy ludzkiej, intencje zrzeszeń obywatelskich, społecznych i patryjotycznych.

Z tego wychodząc założenia, prof. Sławiński kreśli wybornie obmyślony plan: na wybrzeżu jeziora należy stworzyć placówkę kulturalną. Nie pensjonat i nie letnisko, lecz świątynię nauki i sztuki. Myśl inicjatora rozwinął i trafnie rozwiązał architekt wileński p. Wojciechowski, który rzucił plan budowli w kształcie zamczyska na wzniesionym brzegu jeziora.

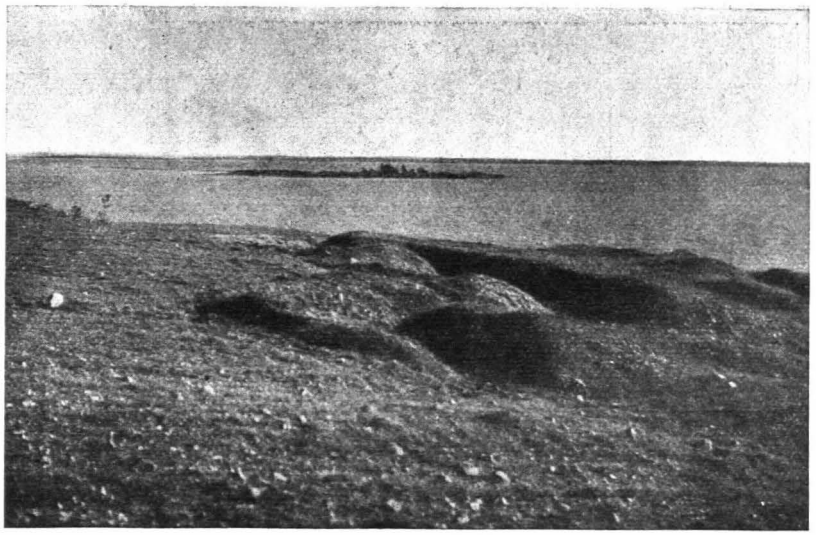

Ryc 269. WYSPA NA NAROCZY. Fot. K Sławiński.

W środku zamczyska mieścić się ma duża sala muzealna, do której przylegają dwie pracownie naukowe. W skrzydłach — pracownie dla artystów. W wieży i na piętrach pokoje dla twórczych duchów nauki i sztuki. Z boku gmachu sale wypoczynkowe dla wycieczek. Stacja meteorologiczna, ichtiologiczna, biologiczna i szereg innych.

Komuż powierzy się zarząd nad taką placówką? Proponowano naszemu Towarzystwu, lecz prof. Sławiński odmówił, wskazując na konieczność pracy „zbiorowej duszy". Zarząd obejmą przedstawiciele szeregu instytucyj społecznych.

I tu może plan wnioskodawcy ulec pewnemu załamaniu. Nie ma większych egoistów nad ludzi społecznych: każdy głęboko jest przeświadczony o doskonałości i wyższości swojej instytucji nad inne. W tym przeroście samouwielbienia ideowego kryje się obawa niepokojącego fermentu w łonie Narockiego Zarządu, nie jest bowiem wykluczone, że naukowiec zdławi krajoznawcę, ichtiolog złapie w sieci plastyka, a meteorolog otumani etnografa.

Już można przewidzieć sądy honorowe w środkowej sali zamczyska, a pojedynki w nadjeziornym lasku.

To jednak nie powinno odstraszać od energicznego wzięcia się do pracy. Urząd wojewódzki musi utorować drogi, a instytucje rozpocząć zabiegi o kredyty na zamierzone dzieło. Pierwsza zaś łódź motorowa, co zacznie pruć fale jeziora, winna nosić nazwę „Krajoznawca", bowiem z idei Krajoznawczej zrodziła się wyprawa na odkrycie Naroczy.

SEWERYN UDZIELA.

PODHALANIE PRZED TRZYSTU LATY.

CZŁOWIEK.

Mieszkanie. Drzewo potrzebne do budowy na własny użytek wolno było brać z lasów królewskich.

Z dokumentów, jakie mamy pod ręką, możemy stwierdzić, że okna były oszklone, pomimo, że „błony szklane" były bardzo drogie: jedna szybka w chłopskiem oknie kosztowała zwykle 2 złote, a nawet sześć szyb w oknie kosztowały 15 złotych [1]).

Oprócz drewnianych zapór i zasów uży-

[1]) Ponieważ krowa kosztowała 12 do 15 złotych, trzeba było sprzedać krowę, aby oszklić jedno okno.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

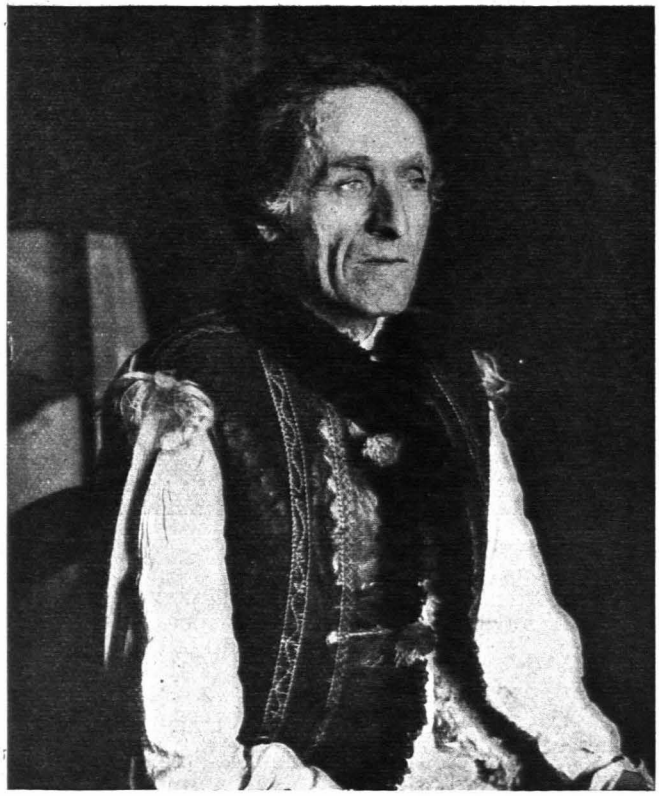

Ryc. 270. GÓRAL. *Ze zb. P. T. Kr.*

wanych do dnia dzisiejszego, drzwi od chaty i od komory zamykały się już na skoble i kłódki żelazne, albo na żelazne zamki. Kłódka kosztowała od 24 groszy do złotego, zamek dwa złote, klucze od komory jeden złoty.

W izbie były ławy dookoła ścian i stół w kącie, były ładne skrzynie w cenie czterech złotych jedna na chusty białogłowskie i do przechowywania pieniędzy służąca. Łóżka zasłane pierzynami, wartości 6 do 8 złotych.

W „czarnej izbie", wisiał kocieł, kosztujący 15 złotych, używany do warzenia piwa, a w komorze sąsiek na zboże, wartości $1^1/_4$ złotego, tudzież różne narzędzia rolnicze.

Miał też góral i skrzypkę, na której raźno wygrywał do tańca, a którą cenił sobie wysoko, bo aż trzy złote.

Odzież. Mężczyźni nosili koszule grubsze do roboty i cienkie z płótna pocześnego od święta, te ostatnie wartości 1 do $1^1/_2$ złotego. Zarzucali na plecy gunie z sukna własnej roboty i zapewne takiego samego kroju, jak dzisiejsze, gdyż krój ten jest bardzo pierwotny, a konserwatyzm u ludu do ostatnich czasów wielki. Na nogi zawdziewali *kapcie*, tak mężczyźni jak kobiety. Jest to rodzaj sukiennych pantofli, używanych do dnia dzisiejszego a szytych z sukna domowego wyrobu. Parę ceniono po 12 groszy. Głowę okrywał góral czapką. W zimie miał sukienne rękawice wartości para 15 groszy.

W aktach nie znajdujemy wzmianki o nogawicach, pasach, kapeluszach. Prawdopodobnie były używane szerokie pasy skórzane, nazywane *„nabiedrok"*, gdyż jeden taki zabrano chłopu w Klikuszowy, wartości trzy złote. Natomiast czytamy, że zabrano jednemu góralowi, Maciejowi Sprochowi *„kitliki* dwa za złotych sześć". Były to zapewne bluzy płócienne, *kitle*, jeszcze tu i owdzie używane w lecie. Zresztą odzienie bliżej nieznane.

Cenniejsze były „chusty białogłowskie", gdyż widocznie góralki i wówczas lubiły się stroić, a w jednej chacie zabrano chust takich nawet za kwotę 50 złotych.

Białogłowy nosiły koszule cienkie, zwykłe w cenie po 3 złote, a jedwabiem *„szyte"*, to jest haftowane po 6 złotych za jedną. Był to już zbytek, jeżeli się zważy, że wówczas za cztery złote można było kupić 20 łokci płótna pacześnego (cienkiego). Do kościoła i na uroczystości weselne wdziewały góralki *„suknie"*, a taka suknia białogłowska kosztowała 15 złotych. Była to zapewne tak zwana do ostatnich czasów *„sukienka"*, rodzaj żupanika kobiecego podbitego barankiem do pasa a pokrytego suknem. Góralkę w takiej sukni widzimy na ilustracji w pracy J. Mehoffera, wydanej 1842 roku [1]). Na głowę wkładają wtedy kosztowne czapki po 12 złotych jedna. Kapcie i kierpce ozdobniejsze niż męskie okrywały im nogi. Na ramiona zarzucały niby szale *„prześcieradła z listwami"*, to jest z koronkami wartości 8 złotych jedno. Zwyczaj ten dochował się u kobiet polskich w górach i na pogórzu do ostatnich czasów. Jeszcze przed paru laty widywałem stare niewiasty wiejskie, odziewające się na święto *„łoktusami"*, *„rańtuchami"*, to jest białemi płó-

[1]) J. Mehofer: Der Sandezer Kreis. Wien, 1842

http://sbc.wbp.kielce.pl/

ciennemi prześcieradłami, czyli płachtami, które brzegami były wyszywane ozdobnie, albo obszyte koronkami. Nosiły podwiki i fartuchy.

Zdaje się, że noszenie korali nie było tu wtedy w modzie, gdyż w dwudziestu domach góralskich, złupionych we wsi Klikuszowej przez żołnierzy starościńskich, niema ani jednej wzmianki o koralach. pomimo, że żołnierze rozbijali skrzynie i zabierali wszystko, co się dało, a nie byliby z pewnością pozostawili korali, jako rzeczy najcenniejszej u chłopa, kiedy zabierali rzeczy nawet mało wartościowe.

Gospodarstwo rolne. Wioski góralskie rozsiane wśród lasów pragnęły powiększyć swój obszar zdatny pod uprawę, także rozszerzyć polany, czyli łąki. Pojedyńczy kmiecie, zagrodnicy, a nawet sołtys *nowinami* wkopywali się bezustannie w lasy dworskie, drzewo wycinali i obsiewali nowe *wyrobiska*, zagospodarowywali nowiny. Stąd ciągłe spory z dzierżawcami starostwa o czynsze i różne daniny i nowe pomiary ról i zagród, które ciągnęły się przez wiek XVII i XVIII [1]).

Uprawiano przeważnie owies i len. Ale tu i ówdzie obsiewano parę zagonów jęczmieniem (jarcem), żytem i połownikiem (owies pomieszany z jęczmieniem). Pszenicę sprowadzano zapewnie na kołacze weselne i placki świąteczne i orkisz także.

Ceny zboża w roku 1630 były następujące:

Jeden korzec, czyli 12 miar owsa 1 złoty 75 groszy, korzec żyta 3 zł., korzec orkiszu 3 zł., korzec połownika 2 zł., korzec pszenicy 6 zł., korzec siemienia lnianego 3 zł.

Jeszcze w 135 lat później (w roku 1765) dwór nowotarski obsiewał na 378 korcy owsa, tylko 20 korcy żyta a 15 jęczmienia, zaś wójtostwo Dzianisz na 333 korcy owsa zaledwie 16 korcy żyta, a 13 jęczmienia.

Urodzaje bywały zwykle liche, a górale skarżyli się zawsze na „grunta nieurodzajne, bo się mało gdzie sam owies rzęsisty y dobry urodzai, tylko nikczemny y mały, częstokroć zamarznie y śniegiem przypadnie, lub zły deszcz wygubi, który na wysokie góry zwykł padać".

Uprawa roli—zdaje się—była ta sama, jaka dochowała się jeszcze do ostatnich czasów. Płodozmian trójpolowy, to jest, przez dwa lata uprawiano rolę, która trzeciego roku leżała ugorem. Orano w zagony pługami kutymi, chociaż „żelaza płużne nowe" kosztowały ośm złotych. „*Orzba*", orka była ciężka, zapewne z powodu roli kamienistej i owoczesnych wielkich i ciężkich pługów. Orano najczęściej w dwa a nawet w cztery konie, więc sąsiedzi „sprzęgali się" do roboty, dopomagając sobie wzajemnie. Do roboty na dworskiem „zarębnicy na pługi y na każdą robotę bydłem nakazaną dwai sprzęgać się maią, a swoiem sprzężem robić". Także „zarębnicy dawniejsi y siodlacy po dwai konie sprzęgali się na wóz ieden, a zarębnicy nowi czterey według inwentarza". Zasiane zboże zawłóczono bronami, a brony były w cenie 3 złotych.

Do roboty przy gospodarstwie używano motyk (wartość 1 złoty), wideł żelaznych (24 grosze), wideł *siennych*, do siana (1 zł. 18 gr.), siekier ($1^1/_4$ — 2 złotych), sierpów. Wóz furmański kosztował 60 złotych, *szla* (szleja—postronki) rzemienna na konia 1 zł. 10 gr., łańcuch 6 zł., łańcuszek 2 zł., ośnik 24 grosze, dłuto 15 groszy, koszyk 12 groszy, świdrzyk, młotek kośny.

Chów zwierząt domowych. Chów owiec był główną podstawą egzystencji i dobrobytu górali. Latem wypasali je na polanach wśród lasów, gdzie budowali szałasy [1]), a zimą karmili w domu, na co wolno im było wycinać gałęzie i wierzchołki drzew w lasach starościńskich [2]). Owce dostarczały serów i *grudy* (=twaróg albo ser młody), wełny, mięsa i łoju.

Znaczna część dochodów dworskich płynęła też z tej hodowli. Od każdego barana płacono staroście corocznie na św. Jakóba 3 grosze, albo dawano piętnastego „*łońszczaka*", to jest barana dwuletniego urodzonego

[1]) Wyrobiska w Czarnym Dunajcu nazywały się: Baligówka, Bukówka, Cedrówka, Eremuszówka. Grzebieniówka. W Chochołowie jedna rola zwała się: Zaborze.

[1]) We wsi Bańsk był „szałas Łączne".

[2]) Sołtys w Klikuszowy... ma być wolnym... dla owiec tesz tylko gałęzie a wierzchy ścinać a ze pnia nie.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

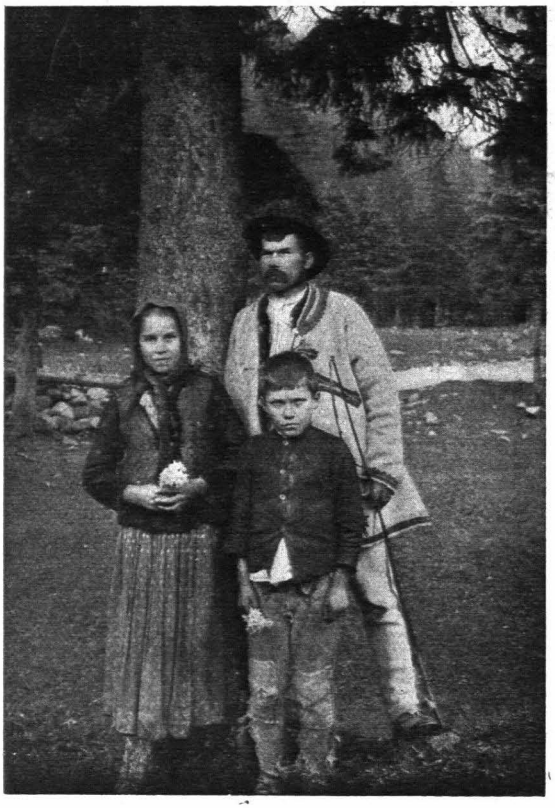

Ryc. 271. RODZINA GORALSKA. *Ze zb. P. T. Kr.*

łońskiego (zeszłego) roku[1]), zaś w każdym trzecim roku nad tę dań obowiązani byli dawać od sta owiec jednego *trzeciaka*, to jest, trzechletniego barana, albo złotych dwa.

Co trzeci rok z każdej roli powinni dawać sery takie duże, jakie z jednego podoju być mogą od sta owiec, lub zamiast sera grudę. Można też było zamiast tej ilości sera płacić po groszy czterdzieści.

Wreszcie obowiązani byli dawać staroście „gunie domowey y pospolitey roboty lubo białe lube pstrc w trzecim roku, albo za każdą groszy pięćdziesiąt".

Starosta rościł sobie pretensje, aby mu dawano nadto jeszcze jagnięta. Te same daniny obowiązani byli składać górale także od kóz, które najczęściej hodowano razem z owcami. Baran dwuletni wart był wówczas półtora do dwóch złotych, a baran trzechletni dwa do trzech złotych.

Chów bydła rogatego należał nie mniej do ważnych gałęzi gospodarstwa. Krowy dawały mleko, a z mleka wyrabiano masło. Kwarta masła kosztowała 10 groszy. Krowę szacowano na trzynaście do piętnastu złotych, a cielicę dwa złote. Woły przyprzęgano do pługa i do wozu.

Każdy góral chował też konie. Wartość konia oceniali na 60 złotych; podkuwane były podkowami.

W dokumentach, jakie miałem pod ręką, nie znalazłem wzmianki o hodowaniu trzody chlewnej, królików i gołębi. Natomiast każda gospodyni chowała gęsi i kury, z czego dań brał także dwór starościński, a mianowicie rocznie po gęsi jednej i po parze kur. Kurę ceniono na cztery grosze.

Łowiectwo i rybołówstwo. Żyjąc wśród lasów i nad rybnemi rzekami, Czarnym i Białym Dunajcem, górale trudnili się z dawien dawna łowiectwem i rybołówstwem. Wolność polowania „w puszczach", w lasach królewskich i łowienia ryb w rzekach opłacali daniną z połowu.

Każda grupa wiosek należących do jednego *„prawa rugowego"*, które odbywały się w Białym Dunajcu, w Bańskiej, w Jastrzębi i w Gliczarowie, dawała sarnę jedną, która równoważyła wartości krowy i kunę jedną, „abo za nią złotych półtrzecia".

„Dwai zarębnicy na iednego ptaka (iarząbka) mają się składać, abo onego po groszy sześć opłacać, na ryby także po groszy sześć, abo dawać na dziesięć lipieni, abo na dziesięć pstrągów".

Nakazywano im tylko tyle polować, aby zwyczajową daninę staroście oddać i tylko tyle ryb łowić — a zabraniano polować *in privatos usus*.

Górale byli zapalonymi myśliwymi, więc prawdopodobnie tępili zwierzynę w królewskich lasach i ryby w rzekach, to też starostowie starali się ograniczać to prawo polowania. Ale poddani skarżyli się u króla i bronili skutecznie tej wolności.

Nie pomijali też i grubej zwierzyny, szli śmiało na dzika, a nawet na niedźwiedzia z oszczepem. Oszczep kosztował wtedy trzy złote.

[1]) A gdzieby poddani baranów y czapów natenczas nie oddali, tedy powinni będą piętnastego barana płacić, iako będą w targu te, które wybierze w dani.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

Przemysł domowy. Góral wystarczał sam sobie do ostatnich czasów; wystawił sobie chatę, wystrugał sprzęty, sporządził odzienie i przygotował żywność. Przed trzema wiekami zdolności te były jeszcze bardziej rozwinięte. To też odnajdujemy z dawniejszych czasów prawdziwe arcydzieła przemysłu ludowego na Podhalu. Przepysznie *ryzowane* stare sosręby i łyżniki, rzeźbione listwy (półki) i stołki, rączki do czerpaków podziwiamy dziś jeszcze.

W każdej chacie góralskiej stał przez zimę warsztat tkacki, na którym mężczyźni i kobiety tkali płótno i sukno.

Przy łuczywie smolnem, albo przy kagankach przędły kobiety i dziewczęta cienkie nici ze lnu lub z konopi w długie, zimowe wieczory lub wczas przed świtaniem, a wtedy to także z ust do ust tradycyjnie przechodziły stare pieśni i powieści ludowe, których resztki wyławiamy ciągle jeszcze. Przędzę motano na motowidłach w pasma, motki i łokcie i składano w komorach. Z czesanego lnu była przędza cienka, a ze *zgrzebi* przędza zgrzebna[1]).

Rolnicy (siedzący na rolach) obowiązani byli oddawać corocznie do dworu trzy łokcie cienkiej przędzy ze swego lnu — zagrodnicy i nowacy musieli uprząść trzy łokcie ze lnów, wydawanych im ze dworu, a komornicy winni byli uprząść po dwa łokcie zgrzebnej przędzy z pańskiego przędziwa, a starosta obowiązany był dawać im strawę do przędzenia.

Z przędzy tkano płótno konopne i lniane, grubsze i cienkie bardzo. Płótna te następnie bielono nad potokami w dnie słoneczne, polewając je wodą. Kawały (sztuki) płótna miały po 20 łokci długości.

Z wełny uprzędzonej tkano sukno zwane *gunią*. Było ono białe z białej wełny i ciemne, czarne, z wełny siwej, brunatnej lub czarnej. Gunie bywały długie tylko na „siąg", to jest, od palca jednej ręki do palca drugiej ręki, gdy

Ryc. 272. PRZED CHATĄ GÓRALSKĄ. *Ze zb P. T Kr.*

dorosły mężczyzna obydwie ręce rozkrzyżował. Wystarczało to na odzienie zwane też gunią.

Do dworu powinni dawać rolnicy co trzeci rok „gunie domowey y pospolitey roboty lubo białe, lubo pstre".

Górale trudnili się także wyrobem gontów na własną potrzebę i na sprzedaż. Dwór chciał opodatkować na swoją korzyść i ten przemysł domowy i kazał „dań od gontów wybierać y wyciągać od nich". Od tego ciężaru uwolnił ich jednak wyrok królewski; poddani mogli wyrabiać gonty na potrzeby dworskie i folwarków tylko jako swoją obowiązkową robociznę dworską.

Wartość pieniędzy. Między ludnością używane były złote (czerwone złote) i grosze; drobniejszej monety nie spotykamy w cennikach. Złoty wart był 30 groszy. Liczono też często grosze na kopy; kopa groszy równała się dwóm złotym.

Wartość pieniędzy w roku 1630 w stosunku do wartości dzisiejszej monety da się wyszukać przez porównanie ze sobą cen różnych przedmiotów na Podhalu przed trzystu laty a dzisiaj. Weźmiemy ceny najgłówniejszych produktów tutejszego gospodarstwa chłopskiego, jakiemi są: owies i owce.

Baran dwuletni wart był półtora złotego, toż samo korzec owsa. Dzisiaj baran taki kosztuje około 45 złotych, czyli wartość złotego z r. 1630 równała się wartości 30 złotych dzisiejszych, a więc jeden grosz dawniejszy miał wartość jednego złotego teraz. Nie jest to obliczenie zupełnie ścisłe, ale da nam w przybliżeniu pojęcie o cenach z przed 300 laty. Przyjmując więc, że jeden czerwony złoty z 1630 r. równa się 30 złotym z r. 1927, zestawiamy

---

[1]) Góralka objaśniała mnie w roku 1914: 30 nitek przędzy idzie na pasmo. 20 pasm na łokietek. Z jednego łokietka przędzy ma być jedna miara płótna, ale ze stu łokietków nie będzie sto miar płótna.

Najpierw czesze się len *ze zgrzebi*; z takiego lnu jest przędza i płótno *zgrzebne*. Potem jeszcze czesze się len z *paczesi*, a z takiego lnu jest przędza i płótno *pacześne*. Najlepsze, najcieńsze płótno jest tylko lniane.

http://sbc.wbp.kielce.pl/

ceny niektórych przedmiotów na naszą monetę, i tak:

Za korzec żyta trzebaby było zapłacić 90 złp., za korzec pszenicy 180 złp., za konia 1800 złp., za krowę 360 do 450 złp., za cielicę 60 złp., za kurę 4 złp., za kwartę masła 10 złp.

Bardzo drogie były narzędzia rolnicze i sprzęty domowe, bo wóz miał wartość konia, a więc 1800 złp. dzisiejszych, żelazo płużne 240 złp., brona 90 złp., motyka 40 złp., widły żelazne 24 złp., siekiera 3 złp., łańcuch 180 złp., dłuto 15 złp., koszyk 12 złp. Szyba szklana w oknie miała wartość 60 — 75 złp., zamek do drzwi 60 złp., skrzynia 120 złp.

Odzież i pościel także wysoko ceniono: koszula męska kosztowała 30—45 złp. dzisiejszych, koszula kobieca 90 złp., a takaż haftowana jedwabiem aż 180 złp.; gunia 120 złp., suknia białogłowska 450 złp., czapka kobieca 540 złp., łokieć (60 cm.) płótna *pocześnego* (cienkiego) 5 złp., pierzyna 180 złp.

A więc czasy były znacznie droższe, niż dzisiaj.

Ś. P. WITOLD WRÓBLEWSKI.

W dniu 1 listopada b. r. zmarł w Warszawie jeden z najbardziej zasłużonych pedagogów polskich ś. p. Witold Wróblewski. Urodzony w Grodnie w 1839 roku poświęcił się naukom przyrodniczym, które studjował w kijowskim uniwersytecie; po ukończeniu uniwersytetu osiadł w Warszawie i poświęcił się pedagogice i przeszło lat sześćdziesiąt uczył nauk przyrodniczych i geografji. Ś. p. W. Wróblewski pracował w czasach niesłychanie trudnych, kiedy rysufikacja w szkołach tępiła wszystko co polskie; mimo tego ś. p. W. Wróblewski należał do tych pedagogów, którzy mimo tych więzów umiał krzesić zamiłowanie do wszystkiego co polskie, do poznania swego kraju; w uczniów swoich wszczepiał wiarę w lepsze jutro, przez co jednał sobie ich zaufanie i wdzięczność. Z Towarzystwem Krajoznawczem łączyły ś. p. W. Wróblewskiego silne węzły: i to od powstania Towarzystwa: był więc jednym z założycieli Towarzystwa, członkiem zarządu, prezesem Komisji Wydawniczej i jednym z najmilej widzianych preiegentów. Prócz tego był współpracownikiem „Słownika Geograficznego", „Wszechświata" „Ziemi" i innych pism. Pomimo sędziwego wieku do ostatniej chwili wytrwał na stanowisku. Cześć Jego zasłużonej pamięci. *J. K.*

SPRAWY TOWARZYSTWA.

W dniu 12 grudnia odbyło się uroczyste wręczenie dyplomów na Członków Honorowych Towarzystwa pp. Janowskiemu, Kulwieciowi i Wisznickiemu.

Redakcję Ziemi z nowym rokiem obejmuje p. Dr. Regina Danysz-Fleszarowa. Profesor Aleksander Janowski z powodu stanu zdrowia zrzekł się redakcji „Ziemi". Na zmianie redaktora „Ziemia" niewątpliwie zyska. (*Aljan*)

TREŚĆ: *January Kołodziejczyk:* Marjan Raciborski (1863 — 1917. — *Regina Danysz-Fleszarowa:* Jezioro Narocz. — *Tadeusz Łopalewski:* Nad największem w Polsce jeziorem. — *Aleksander Janowski:* Placówka nad Naroczą.—*Seweryn Udziela:* Podhalanie przed trzystu laty.—*J. K.:* Ś. p. Witold Wróblewski.—Sprawy Towarzystwa.

PRENUMERATA wynosi: Kwartalnie 6 zł. Półrocznie 12 zł. Rocznie 24 zł. Członkowie P. T. Krajoznawczego, nauczyciele, młodzież szkolna, akademicka, Koła Krajoznawcze młodzieży i pokrewne instytucje korzystają z 15% zniżki. Za przesyłkę dolicza się 30 gr. miesięcznie.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1.25 gr.

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktor: **Aleksander Janowski.** Wydawca: **Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.**

Druk. Jan Świętoński i S-ka. Warszawa, Kopernika 34, tel. 407-50.

http://sbc.wbp.kielce.pl/